

MIEJSCE GEOPOLITYKI W KLASYFIKACJI DYSCYPLIN NAUKI Z GEOGRAFIĄ, HISTORIĄ I POLITYKĄ W ICH NAZWACH

Tytuł powyższy jest przydługi, ale niezbędny dla tekstu, próbującego wykazania merytorycznych nieporozumień i nonsensów, towarzyszących umiejscawianiu w systematyzacji nauk rozlicznych pomocniczych dyscyplin nauki, w nazwach których występują słowa: *geografia*, *historia*, *polityka*. Jedną z tych dziedzin jest *geopolityka*. Ci, dla których stanowi ona główny przedmiot ich zainteresowań, radzi są uznawać poszukiwanie jej miejsca w systematyzacji nauk za sprawę szczególną, pierwszoplanową w stosunku do tych dyscyplin nauki, o jakich również tekst ten traktuje. Problem ten wymaga jednak analizy kompleksowej, obejmującej całą grupę dyscyplin, których szczególny związek albo z geografią, albo z historią, albo z politologią, jest orzekany pochopnie i błędnie, tylko na zasadzie skojarzeń sugerowanych przez nazwy poszczególnych owych nauk pomocniczych.

Z czego się rodziła lawina takich nieporozumień i nonsensów, przez pokolenia nagromadzających się w naszym kraju (bo tylko o sytuacji w nauce polskiej tu piszę, stan spraw w innych krajach jest bardzo zróżnicowany *in plus*, chociaż gdzieś tam również *in minus*)? Przede wszystkim z niedouczenia w zakresie *metodologii nauk*. Zoolog, dokonujący dziś systematyzacji zwierząt, czy botanik, dokonujący tego samego w odniesieniu do roślin, a kierujący się przy tym kryteriami ich systematyzacji obowiązującymi przed Linneuszem czy Darwinem, byłby przez świat nauki zignorowany. A przecież istnieje wyraźna analogia między nim a zamieszczeniem pojęciowym, widocznym dotąd w klasyfikowaniu takich dyscyplin jak dla przykładu antropogeografia, geopolityka, polityka historyczna.

Zamieszanie takie – przykłady podaję niżej – istniało już w międzywojennej nauce polskiej, ale swego dna sięgnęło dopiero podczas po-jałtańskiego komunistycznego zniewolenia kraju (1944-1989), epoce równie długiej jak niewola Żydów, wywiezionych nad wody Babilonu (683-638 p.n.e.), wystarczającej dla powstania przerwy pokoleniowej “między dawnymi a nowymi laty”. W Polsce Ludowej dno to było najgłębsze w owym siedmioletnim terrorze stalinizmu (1949-1956), który dla mnie był okresem studiów wyższych, rozpoczętych właśnie w 1949 roku a przedłużonych odsłużeniem trzyletniego “nakazu pracy” aż do 1956 roku, w którym uzyskałem tytuł magistra i w następstwie popaździernikowego poluzowania ideologicznego, zostałem asystentem w Katedrze Ekonomiki Transportu na WSE w Sopocie.

Moje podstawowe studia wyższe, dzisiaj nazywane licencjackimi, w latach 1949-1953 w Wyższej Szkole Handlu Morskiego, byłyby czasem intelektualnie absolutnie bezwartościowym, gdyby nie jeden wykładowca, Józef Staszewski, którego wspominam tak, jak Konstanty Ildefons Gałczyński znakomitego znawcę antyku, Tadeusza Zielińskiego, pisząc o nim, iż “*świeci jak gwiazda w pruskiej stajni*”. Staszewski pracował w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Gdańsku,

zajmując się tam geografią historyczną, której był znakomitym znawcą. Z braku fachowca od geografii gospodarczej, został zaangażowany wtedy do prowadzenia na WSHM wykładu z tego przedmiotu. Był on w tej szkole takim samym przypadkowym wykładowcą, jak ja przypadkowym studentem, ale umocnił we mnie fascynację geografią historyczną, już w latach drugiej wojny światowej we mnie rozbudzoną. W innych okolicznościach byłyby to lata szkoły podstawowej, która miała się dla mnie rozpocząć drugiego września 1939 roku, ale wojna podjęta dzień wcześniej sprawiła, że w ławce szkolnej znalazłem się dopiero w lutym 1945 roku i to od razu w gimnazjum.

Wiedzę z zakresu szkoły podstawowej zdobyłem w latach okupacji wojennej jako samouk, co miało swoje niewątpliwe minusy, ale nieporównanie większe plusy. Plusem była wolność od wszelkiej indoktrynacji ze strony pedagogów i to już na zawsze, gdyż w szkole średniej, przez którą w cztery lata przeszedłem jak burza, kończąc ją maturą w 1949 roku i później na krańcowo skomunizowanym WSHM, byłem już na taką indoktrynację całkowicie uodporniony. Plusem było to, że sam decydowałem o doborze moich lektur i o pogłębianiu moich zainteresowań. Minusem było to, że poziom mojej wiedzy z różnych przedmiotów, z którymi miałem do czynienia w szkole średniej był bardzo zróżnicowany: z przedmiotów humanistycznych, z historią na pierwszym miejscu, generalnie ponadprzeciętny, w naukach ścisłych, które w szkole średniej traktowałem jako „*dopust Boży*”, musiałem uzupełniać ogromne luki, gdyż w latach wojny zapoznawałem się z nimi tylko w przypadkowo zaciekawiających mnie wybiórczych ich fragmentach. Przez wiele lat wydawało mi się, że obok historii znam równie dobrze także geografię. Złudzenie to prysło, gdy wreszcie uświadomiłem sobie, że to, co uważałem za geografię, było w rzeczywistości antropogeografią, natomiast geografia właściwa, jako nauka przyrodnicza, równie mało mnie interesowała, co pozostałe nauki ścisłe.

Znakomitą autobiografię Richarda Pipesa „*Żyłem. Wspomnienia niezależnego*” poznałem dopiero po ukazaniu się jej przekładu polskiego w 2004 roku, kiedy ukończyłem pisanie moich wspomnień „*Już tylko cywilizacja*”. Konfrontacja obu autobiografii zadziwiła mnie analogiami naszej drogi naukowej. Starszy ode mnie o dekadę politolog amerykański opisuje, jak doszedł do studiowania historii i jak następnie skierował swe zainteresowania na przemiany cywilizacyjne w czasie i przestrzeni. Wręcz szokującym dla mnie był ten fragment, w którym opisuje jak jesienią 1939 roku pospiesznie uciekał z rodzicami z Warszawy do Italii i stamtąd do Ameryki. Do plecaka mógł zabrać ze swej biblioteki tylko kilka książek z historii sztuki, natomiast musiał pozostawić w Warszawie wielotomową niemiecką encyklopedię *Meyers Konversations-Lexikon*, budującą jego wiedzę o świecie. Mój ojciec, skupujący dla mnie w latach wojennego wysiedlenia naszej rodziny do Tomaszowa Mazowieckiego liczne książki, dostarczył mi gdzieś w połowie tamtej wojny taką właśnie 18-tomową encyklopedię wydania z 1894 roku, z trzema tomami suplementów dla lat późniejszych, do początku XX wieku. Dziś można spoglądać na nią jak na starodruk, ale wtedy była równie aktualna, jak obecnie *Encyclopaedia Britannica* w wydaniu z lat 60. minionego wieku. Dla mnie, tak samo jak dla młodego Pipesa, stała się podstawowym *vademecum* naukowym. Dla niej, aby przezwyciężyć barierę językową, przyłożyłem się do nauki niemieckiego.

Dotąd służy mi jako nieoceniony podręczny dostawca informacji z zakresu wiedzy humanistycznej.

Samoukiem pozostałem również w ciągu mej długiej drogi naukowej, rozpoczętej w 1956 roku. Mój kierownik katedry, będący zarazem promotorem mojej pracy doktorskiej, sugerował mi jako jej temat "Transport jako czynnik lokalizacji produkcji", ponieważ wcześniej pisałem u niego pracę magisterską na podobny temat, tyle, że dotyczący portów morskich. W tej sytuacji był to dla mnie temat łatwy do napisania, ale ja szukałem czegoś ambitniejszego, bardziej teoretycznego niż praktycystycznego. Do tego coś mnie od tematu tego odstręczało intuicyjnie, a intuicję uważałem za dobrego doradcę. I tym razem nie myliłem się. Swojej pracy doktorskiej broniłem w listopadzie 1963 roku a recenzentem jej wyznaczono nieznanego mi wcześniej profesora Ignacego Tarskiego z SGPiS, który krótko przedtem wydał książkę pod tytułem .. "*Transport jako czynnik lokalizacji produkcji*". Ładnie bym trafił, broniąc przed nim rozprawy doktorskiej o identycznym z jego książką tytule!

Na swoje szczęście wybrałem sobie zupełnie inny temat doktoratu. Zdecydowałem, że będzie to rozprawa z zakresu metodologii nauk, służącej zbadaniu, czy ekonomika transportu, pod szyldem której przyszło mi 35 lat być pracownikiem naukowo-dydaktycznym, jest rzeczywiście odrębną dyscypliną nauki, podobnie zresztą jak i pozostałe liczne tak zwane ekonomiki branżowe, wykreowane do tej roli w najciemniejszych latach stalinizmu w początku dekady lat 50. Temat mojej rozprawy doktorskiej brzmiał: "Transport jako przedmiot badań ekonomicznych" a zwiastunem jego była monografia metodologiczna opublikowana przeze mnie w 1961 roku pod tytułem: *Transport jako przedmiot badań naukowych*. Podstawowym źródłem przy jej przygotowywaniu było znakomite dzieło Tadeusza Kotarbińskiego „*Elementy teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk*”. Pierwsze jego wydanie z 1929 roku było dostępne jedynie w dużych bibliotekach, ale właśnie w 1961 ukazało się jego poszerzone wydanie drugie. Dla poprawnej klasyfikacji nauk była to książka bezcenna, ale w stosunku do tych, którzy wtedy różne niby-nauki ustanawiali i dla znakomitej większości tych, którzy w nich widzieli szansę dla budowy ich własnej kariery, książka o metodologii nauk była biblijnym *glosem wolającego na puszczy*.

Zaryzykowałem kontestację wobec ich postawy i – o dziwo – uniknąłem negatywnych następstw tej kontestacji. W swej rozprawie doktorskiej wykazałem, że ekonomika transportu, taka jak ją przedstawia resortowy program jej nauczania, nie stanowi odrębnej dyscypliny nauki, lecz zbieraninę odnoszących się do transportu zagadnień, badanych przez rozmaite, różne co do swego charakteru nauki. W toku mojej analizy wypracowałem uproszczony schemat klasyfikacji nauk empirycznych (czyli: sprawdzalnych doświadczalne), który wykazuje generalnie swą użyteczność dla klasyfikowania dyscyplin nauki, a więc można z niego korzystać również przy problemie w tekście tym rozpatrywanym..

Tabela I. Schemat klasyfikacji nauk empirycznych.

Nauki podstawowe		Nauki stosowane	
Nauki o naturze	A1. Odpowiadające na pytania „ <i>jak jest</i> ” w odniesieniu do świata przyrody organicznej i nieorganicznej	B1. Wszelkiego rodzaju „ <i>techniki</i> ” odpowiadające na pytania „ <i>jak wykorzystać praktycznie</i> ” osiągnięcia nauk przyrodniczych	Umiejętności praktyczne
Nauki o kulturze	A2. Odpowiadające na pytania „ <i>jak jest</i> ” w odniesieniu do tworzonych przez ludzkość świat kultury	B2. Wszelkiego rodzaju „ <i>polityki</i> ” odpowiadające na pytania „ <i>jak być powinno</i> ” w tworzonym przez ludzkość świecie kultury	Wskazania normatywne

Źródło: opracowanie własne

Tabela I stanowi przy klasyfikowaniu nauk równie nieskomplikowany a niezawodny probierz jak papierek lakmusowy w chemii dla odróżniania kwasów od zasad. Umieszcza ona geografję, jako jedną z przyrodniczych nauk podstawowych, w bloku A1; historię, jako jedną z nauk podstawowych o kulturze, w bloku B1; politologię, należąca podobnie jak historia do nauk o kulturze, tyle że nie do nauk podstawowych, ale do nauk stosowanych, w bloku B1.

Skoro z tym się zgodzimy, przedmiotem dalszych rozważań, będzie ustalenie w schemacie klasyfikacji nauk, również miejsca tych wszystkich *dyscyplin pomocniczych*, których nazwy budzą kojarzenie ich z trzema wyżej wymienionymi dziedzinami nauki. Geopolityka, jak i każda inna z rozpatrywanych tu dyscyplin, w nazwie której występuje bądź geografia, bądź historia, bądź polityka, jest merytorycznie przynależna tylko do *jednej* z tych *trzech* dziedzin nauki, jako jej *dyscyplina pomocnicza* - a o przydziale tym decyduje wyłącznie to, czy określona dyscyplina pomocnicza, charakterem swym mieści się w bloku A1, w bloku B1, czy w bloku B2, schematu klasyfikacyjnego Tabeli I.

Sugerowanie się skojarzeniami wyciąganymi jedynie na podstawie nazw, nadanych owym dyscyplinom pomocniczym, prowadziło w przeszłości jedynie do nieporozumień i ewidentnych nonsensów. Najwięcej winy miała w tym geografia przyrodnicza, odkąd jej przedstawiciele – Eugeniusz Romer jest tu postacią pierwszoplanową – wystąpili z koncepcją <*jednej geografii*>, na podobieństwo rozrastającego się nowotworu, wchłaniającej do geografii przyrodniczej wszystkie te dziedziny nauk o kulturze, w nazwach których występuje wyraz *geografia* (antropogeografia, geografia historyczna, geografia polityczna, geografia gospodarcza), czy choćby tylko prefix *geo-* (geopolityka).

Uprawnione jest to tylko wtedy, gdy odnosi się do wyłanianych z geografii przyrodniczej dyscyplin nauk przyrodniczych, jak geologia, czy oceanologia; a także do bazujących na ustaleniach geografii przyrodniczej stosowanych naukach technicznych z bloku A2 (inżynieria wodna, agrotechnika itd.). Ale granica nauk o kulturze winna być dla geografii przyrodniczej nieprzekraczalną. Wyraz *geografia*

w takich obszarach nauk o kulturze jak *geografia* człowieka (*antropogeografia*), *geografia* historyczna, *geografia* polityczna, *geografia* gospodarcza, jest uzasadniony i oczywisty, gdyż wszystkie one zajmują się tworzoną przez ludzkość *kulturą* w wymiarze przestrzeni ziemskiej; helleński termin <*geografia*> to przecież <*opis Ziemi*>, zarówno w aspekcie przyrodniczym, jak i kulturowym .

[W tym miejscu nieodzowna jest dygresja. “Podbój Kosmosu”, czterdzieści lat temu zawiódł ludzi na powierzchnię Księżyca; sondy kosmiczne obfotografowały jego stronę widzialną jak i niewidzialną z Ziemi, umożliwiając wydawanie dokładnych atlasów Księżyca; ten nowy obszar nauki bezmyślnie nazywany bywa <*geografią Księżyca*>, chociaż nie dotyczy Ziemi a innego ciała niebieskiego; poprawną nazwą, stworzoną także na bazie antycznej greki, jest tu *selenografia*. A w kolejce już istnieje zapotrzebowanie na nazwy przyrodniczego opisu planet Układu Słonecznego, od Marsa poczynając: czy mają to być kolejne <*geografie*>?].

Na tym tle przypomnienie: pięć wieków temu przełom średniowiecza i epoki nowożytnej za życie jednego pokolenia przyniósł doniosłe zmiany. Europejski horyzont geograficzny do schyłku średniowiecza obejmował zaledwie 10 procent powierzchni Ziemi, pozostałe 90 procent stanowiła *terra incognita*. Pięć wieków temu, wielkie wyprawy oceaniczne, odkrywające Amerykę i Pacyfik obaliły antyczną geografię Ptolemeusza, udostępniając cywilizacji zachodniej całą planetę. Wkrótce potem przewrót kopernikański obalił antyczną heliocentryczną astronomię Ptolemeusza, sprowadzając Ziemię do rangi jednej z mniejszych planet Układu Słonecznego. W ślad za tym dawną geografię przyrodniczą wchłonęło przejściowo nowe pojęcie: *kosmografia*, obejmujące jednocześnie przyrodniczy opis zarówno Ziemi, jak i innych ciał niebieskich. “*Wstępem do kosmografii*” nazywało się dzieło Waldseemüllera z początków XVI wieku, w którym najwcześniej pojawiła się nazwa Ameryki dla nowo odkrytego zaatlantyckiego kontynentu, jak i w połowie XVI wieku dzieło Münstera, największego z geografów tego stulecia. Jeszcze w XIX wieku wielki Aleksander Humboldt nadał nazwę “Kosmos”, wydawanemu przez niego najwybitniejszemu czasopismu geograficznemu jego czasów. Może zatem i dziś warto powrócić do terminu *kosmografia*, jako obejmującego ziemską geografię przyrodniczą – przynajmniej przejściowo, zanim się nie stanie dla wszystkich jasne – że humanistyczna *geografia kulturowa* jest czymś zupełnie odmiennym od owej *geografii przyrodniczej*. Trudno: koncepcja <*jednej geografii*> nawarzyła piwa, za które teraz powinna zapłacić.

Z dylematami narzucanymi przez ową <*jedną geografię*> musiałem się biedzić w drugiej połowie lat 60., kiedy przygotowywałem moją rozprawę habilitacyjną. W poszukiwaniu jej tematu dopomogła mi myśl o perypetiach, w jakie niewątpliwie wdepnąłbym pisząc rozprawę doktorską pod tytułem identycznym z tytułem książki autorstwa recenzenta tej rozprawy. Teraz jednak odwróciłem sytuację sprzed lat na swoją korzyść, w rezultacie następującego rozumowania: rozprawa habilitacyjna powinna podjąć temat w zasadzie nowy, dotąd w nauce nieopracowany; skoro profesor Tarski napisał książkę o transporcie jako czynnika rozmieszczenia produkcji, to ja podejmę temat bliźniaczy, przez nikogo, według mojej wiedzy, jeszcze nieporuszony – transportu jako czynnika rozmieszczenia osadnictwa. Ostatecznie, w wersji książkowej, zmodyfikowałem tytuł mojej rozprawy na “*Transport jako czynnik regionalizacji osadnictwa*”, ponieważ miało to być

studium, pokazujące regionotwórcze następstwa wielkich migracji osadniczych; z których wyłoniły się następnie historyczne regiony Europy.

<Transport> w tytułach moich obu kolejnych rozpraw był koniecznością, wynikającą z tego, że powstawały one w Katedrze Ekonomiki Transportu. Trzeba się było do tego dostosowywać, ale tworzyło to bariery w swobodzie wypowiedzania się autora, zarówno w doktorskiej rozprawie, *de facto* z metodologii nauk, jak w habilitacyjnej, *de facto* z geografii historycznej. W rozprawie habilitacyjnej za podstawę przyjąłem komunikacyjną funkcję wielkich rzek Nizy Europejskiego, powodującą, że migracje osadnicze kierujące się tymi rzekami, kształtowały regiony osadnicze, oparte o układy sieci wodnej – regiony hydrograficzne; kiedy zaś osadnictwo to koncentrowało się przy wybrzeżach morskich, tworzyło analogiczne regiony litoralne. Gdyby nie ów <transportowy> ogranicznik, wziąłbym pod uwagę również regiony orograficzne, powstające w następstwie zasiedlania obszarów górskich; adekwatny do tego tytuł rozprawy powinien wtedy brzmieć: „Geografia fizyczna jako czynnik regionalizacji osadnictwa”.

Jako pokłosie, czy – jeśli kto woli – odpad tej rozprawy habilitacyjnej powstała moja książka „*Gniazdo Orła Białego*”. Ukazała się ona w 1968 roku, na kilka miesięcy przed moją obroną habilitacyjną. „Odpadowa” jej geneza wynikała stąd, że pierwotna wersja rozprawy habilitacyjnej została uznana za nazbyt obszerną i polecono mi jej skrócenie do połowy pierwotnej objętości. Rozwiązałem to w ten sposób, że książka przedstawiona jako rozprawa habilitacyjna objęła tylko wywody teoretyczne, oparte głównie na literaturze niemieckiej i amerykańskiej, a druga połowa, stanowiąca „*case study*”, na przykładzie geografii historycznej Polski, po przeredagowaniu ukazała się jako odrębna książka, „*warsztatowo*” najlepiej dopracowana w całej mojej twórczości. Nic w tym dziwnego, skoro jej tekst powstawał, w zamierzeniu, jako integralna część mojej rozprawy habilitacyjnej, która z konieczności rozpadła się na dwie książki. Za „*Transport jako czynnik regionalizacji osadnictwa*” uzyskałem stopień naukowy doktora habilitowanego, za „*Gniazdo Orła Białego*” sławę i rozgłos nieporównywalnie przewyższające moją formalną rozprawę habilitacyjną.

„*Gniazdo Orła Białego*” wyznaczyło punkt zwrotny w procesie mojej kontestacji wobec metodologicznych uzurpacji <jednej geografii>. Gdy powstawało owo studium z geografii historycznej Polski, wciąż jeszcze nie byłem rygorystyczny w przestrzeganiu metodologicznych rozgraniczeń, przedstawionych w Tabeli I. Propaganda <jednej geografii> robiła swoje: *geografia historyczna*, zgodnie z jej dwuczłonową nazwą, wydawała mi się wtedy jeszcze syntezą obu nauk, nazwą tą złączonych. Za ten błąd młodości (publikując „*Gniazdo Orła Białego*” miałem zaledwie 35 lat) naraziłem się na uzasadnioną krytykę, zarzucającą tej książce *determinizm geograficzny*. Istotnie, założenie pełnej identyfikacji zasięgu regionów historycznych z zasięgiem regionów hydrograficznych zostało w tej książce doprowadzone do absurdu. Geograficzne środowisko naturalne stwarza *zachętę* do wykorzystywania w działalności ludzkiej regionów przyrodniczych jako podstaw dla zasięgu odpowiednich regionów historycznych. „*Zachęta*” ta jest zjawiskiem realnym, nazywanym *posybilizmem geograficznym*. Żądanie, aby regiony kulturowe we wszelkich szczegółach dostosowywały się do zasięgu regionów naturalnych to właśnie ów absurdalny

determinizm geograficzny. Kiedy się to pojmie, pryska mit <jednej geografii> na zasadzie: *oddać kulturze, to co kulturowe, pozostawić naturze, to co naturalne*.

Stosując się do tej zasady, od razu w rozpatrywanych tu kwestiach, przywracamy ład metodologiczny przedstawiony w Tabeli I. A wtedy staje się jasne, że *geografia historyczna* jest dyscypliną pomocniczą historii, z *geografią przyrodniczą* nie mając niczego wspólnego. Podobnie jak *geografia polityczna*, będąca dyscypliną pomocniczą politologii. Natomiast związek geografii historycznej z geografią polityczną jest wyraźny: geografia polityczna to teraźniejszość, geografia historyczna to przeszłość. To, co obecnie jest przedmiotem geografii politycznej, dezaktualizując się, staje się przedmiotem geografii historycznej; i odwrotnie: to, czym zajmuje się geografia historyczna, w jakimś momencie przeszłości było geografią polityczną – nawet, jeżeli nazwy tej jeszcze wtedy nie stosowano.

Przełożyłem na język polski książkę Arnolda Toynbee *“Greek Historical Thought”* (*“Antyczna grecka myśl historyczna”*, Wyd. A. Marszałek, Toruń 2001). Brytyjski badacz cywilizacji dowodzi w niej, że antyczni autorzy zajmowali się w zasadzie wszystkimi przedmiotami zainteresowań historyków współczesnych, tyle, że dla wielu z nich mieli własne określenia, różne od terminologii współczesnej. We Francji, w połowie XVIII wieku, po raz pierwszy pojawiły się terminy: *cywilizacja, kultura, filozofia dziejów*; nie znając tych określeń, zajmowano się ich przedmiotem już w cywilizacji antycznej.

A co z geopolityką, w tytule tego tekstu uwypukloną? Nazwę tej dyscypliny stworzył Szwed Kjellen. Literatura przedmiotu podaje dość powszechnie, że miało to miejsce w 1917 roku. Ale, recenzując rozprawę doktorską Wojciecha Kazaneckiego, dowiedziałem się z niej, że Kjellen nazwy tej użył w swej publikacji z 1899 roku. A wcześniej, gdy nazwy tej nie znano, czyż nie uprawiano geopolityki? Cofnijmy się do pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej Obojga Narodów w 1772 roku. Fryderyk II, zagarnął wówczas Prusy Królewskie, powołując się na prawa historyczne z czasów krzyżackich, ale do zaboru tego dołączył tzw. Okręg Notecki, wykrojony z północnej Wielkopolski, gdyż tylko doliną Noteci można było stworzyć drogę wodną, łączącą obie stolice pruskie, Berlin i Królewiec. Indagowany, dlaczego zabrał terytorium, do jakiego żadnych praw historycznych nie posiadał, udzielił tej cynicznej odpowiedzi: *„Ja zabieram to, co jest mi potrzebne, zadaniem moich ministrów jest wyjaśnienie, dlaczego musiałem tak postąpić”*. Czyż nie jest to klasyczna geopolityka w XVIII-wiecznym jej wydaniu? Cofnijmy się o dalsze dwa i pół stulecia, do wojny prowadzonej w 1526 roku w północnej Italii, między cesarzem Karolem V a królem Francji, żartobliwie interpretowanej przez cesarza: *“Mój kuzyn Franciszek i ja jesteśmy całkowicie zgodni – każdy z nas obu chce mieć Mediolan”*. Ewidentnemu myśleniu geopolitycznemu nadano tutaj maskę żartu. W XIX wieku, niemal równocześnie po obu stronach Atlantyku, ambicje geopolityczne prezentowano jako wolę *Najwyższego*. Na początku dekady lat 30., prezydent USA Andrew Jackson, apelował do społeczeństwa amerykańskiego o zasiedlenie nabytych od Napoleona prerii, rozciągających się od Missisipi po Góry Skaliste tymi słowami: *“Sam Bóg dał Stanom Zjednoczonym prawo do całej doliny Missisipi”*; u schyłku tej dekady francuski poeta Wiktor Hugo, w książce, relacjonującej jego podróż statkiem po

Renie od Alp do jego delty, wyjaśniał, dlaczego rzeka ta powinna stanowić wschodnią granicę Francji: *“Sam Bóg dał Francji prawo do granicy na lewym brzegu Renu”*. Na takie *dictum*, brakuje kontrargumentów.

Dlaczego wszystkie przytoczone tu wypowiedzi są charakterystyczne dla geopolityki, a nie czy to dla geografii, czy dla historii? Ponieważ zarówno geografia (blok A1) jak i historia (blok B1), należą do nauk podstawowych, badających świat *jakim jest*, natomiast geopolityka należy do nauk normatywnych bloku B2, dających odpowiedź na pytanie *jak być powinno? Powinniśmy* zabrać Okręg Notecki; *powinniśmy* posiadać Mediolan; *powinniśmy* zagospodarować całe dorzecze Missisipi; *powinniśmy* otrzymać granicę na lewym brzegu Renu. “Papierek lakmusowy” schematu Tabeli I kolejny raz wyznacza, tym razem geopolityce - jej właściwe miejsce w klasyfikacyjnej systematyce nauk.

Geopolityczne „przydatki”, czy to do geografii, czy do historii, czynią w tej sytuacji z obu tych nauk podstawowych coś podobnego do komputera zainfekowanego wirusem. Uwolnienie ich od owego geopolitycznego „wirusa”, wyjdzie na korzyść nie tylko geografii i historii, ale i samej geopolityki, która dopiero umiejscowiona w swoim właściwym, politologicznym środowisku, może w pełni zaprezentować swoją geopolityczną tożsamość.

W tym kontekście warto zwrócić uwagę na książkę Jakuba Litwina *„Szkice krytyczne o determinizmie geograficznym i geopolityce”*. W krytyce determinizmu geograficznego zajmuje autor ten stanowisko, zbieżne z przedstawionym wyżej; nie sposób z nim się nie zgodzić. Bardziej złożony charakter miał niesłychanie jednak jego ostry atak na geografów polskich za ich poglądy i publikacje geopolityczne. Merytorycznie miał on o tyle rację, że te poglądy i publikacje nie należały do zakresu ich badań i osiągnięć czy to w dziedzinie geografii przyrodniczej (blok A1), czy też antropogeografii (blok B1), a zatem były ich prywatnymi wypowiedziami na tematy nie należące do tych nauk. Gdyby Jakub Litwin do tego tylko się ograniczył, miało by to charakter połajanki: *“I po co wam to było? Sami tym niepotrzebnie wystawiliście się na krytykę.”* Ale sprawa była znacznie poważniejsza. Książka Jakuba Litwina ukazała się w Warszawie w 1956 roku, a znając wolne tempo produkcji wydawniczej PRL, nie była ona produktem roku przełomu październikowego, tylko spadkiem po kończącym się wówczas w tym kraju okresie stalinizmu. Była atakiem ideologicznym, mającym zdyskwalifikować całe *“burżuazyjne”* środowisko polskiej geografii, aczkolwiek – co trzeba autorowi przyznać – nie denuncjowała imiennie żyjących, gdyż *ad personam* skierowana była pośmiertnie przeciwko czterem przedstawicielom tego środowiska: Eugeniuszowi Romerowi, Stanisławowi Pawłowskiemu, Stanisławowi Srokowskiemu i Jerzemu Lothowi nie za to, że *niepotrzebnie* zajmowali się oni geopolityką, lecz za to, że *w ogóle* poważyli się na akceptowanie czegoś tak irracjonalnego i moralnie zdyskwalifikowanego jak geopolityka. Bo tak można odczytać pogląd Jerzego Litwina na geopolitykę, generalnie zbieżny z wrogą geopolityce propagandą komunistyczną i prokomunistyczną lat po zakończeniu drugiej wojny światowej. A już aroganckim znieważeniem pamięci atakowanych, była taka uwaga w przypisie na s.90 tej książki: *“By uniknąć wszelkich nieporozumień, zaznaczam, że biorę pod uwagę li tylko geopolityczne poglądy owych uczonych, pomijam ich teorie i poglądy ściśle geograficzne, tymi się nie*

interesuję; nie chcę pomniejszyć ich zasług w dziedzinie geografii, jeśli tak o w e m a j q.” (podkreślenie moje – A.P.).

Charakterystyczne, że z owym *pryncypialnym* atakiem na geografów, zajmujących się geopolityką, kontrastowała wyraźna pobłażliwość władz komunistycznych dla historyków, zajmujących się w tamtych latach geopolityką, skrajnie antyniemiecką a jednocześnie prosowiecką, afirmującą narzucone Polsce w 1945 w Jałcie i Poczdamie zmiany jej granic państwowych. Z wielu przykładów, wymieniam tutaj tylko jeden: książkę Marii Kielczewskiej “*O podstawy geograficzne Polski*” (Poznań 1946), a to dlatego, że zasugerowanie się jej tezami, wypaczyło w istotnym stopniu geograficzno-historyczne przesłanie “*Gniazda Orła Białego*”. Dopóki zajmowałem się w tej książce kolejno poszczególnymi regionami historycznymi kraju w jego powojennych granicach państwowych, była to książka *par excellence* z geografii historycznej. Kiedy jednak, za inspiracją książki Kielczewskiej, scalałem te regiony historyczne razem, szukając “*podstaw geograficznych*” takiej całości, w postaci Polski w granicach dorzeczy Wisły i Odry, geografia historyczna zamieniła się w spekulacje geopolityczne, za jakie zasłużyłem na krytykę podobną tej, jaką Jakub Litwin skierował przeciw geografom zajmującym się geopolityką.

Gdy z czasem przemyślałem i przewartościowałem wszystkie zalety i słabości “*Gniazda Orła Białego*” uznałem, że mam już uporządkowane z punktu widzenia metodologii nauk wszystkie powiązania geografii historycznej w systematyzacji nauk historycznych; nie miałem już wątpliwości, że:

po pierwsze, geografia historyczna, jak cała antropogeografia, jest zasadniczo odmienna od geografii przyrodniczej i dlatego powinna być wolną od pułapek determinizmu geograficznego,

po drugie, geografia historyczna jest najściślej powiązana z historią, stanowiąc jej naukę pomocniczą,

po trzecie, geografia historyczna, jak wszelkie nauki podstawowe, winna zachowywać dystans w stosunku do geopolityki, będącej nauką pomocniczą politologii, normatywną w swym charakterze, jak wszystkie nauki polityczne,

po czwarte, nie wyklucza to bliskiego związku geografii historycznej z geografią polityczną, która w bloku nauk politycznych zajmuje się tym samym w odniesieniu do teraźniejszości, czym geografia historyczna zajmuje się w odniesieniu do przeszłości.

Kiedy już dojrzałem do tego, że powyższe stwierdzenia stały się dla mnie pewnikami, powinienem był powrócić do “*Gniazda Orła Białego*” i doprowadzić do drugiego wydania tej książki, w duchu tych pewników przerehablowanej. Ale do tego dotąd nie doszło, gdyż zaraz po zatwierdzeniu mojej habilitacji, teraz już jako “*samodzielnego pracownika nauki*”, pochłonęła mnie bez reszty nowa przygoda intelektualna. Uznałem, iż zaszeregowanie mnie w “*Informatorze Nauki Polskiej*” przy specjalności *ekonomika transportu*, jest żenujące dla mnie, przy moich, zgoła odmiennych, zainteresowaniach naukowych. Za cel długofalowy postawiłem doprowadzić się do tego, aby uznano formalnie, że moja specjalność naukowa to *historia i geografia cywilizacji*. Ale *Anno Domini 1969*, nawet “*w najwygodniejszym baraku sowieckiego lagru*” można było sobie o takiej przyszłości jedynie zamarzyć. Wtedy habilitowany, czy niehabilitowany, jak ów

chłop pańszczyźniany *ad glebae adscriptus*, gdzie udało ci się zostać asystentem, w tym kieracie musiałeś dreptać, nawet jako profesor zwyczajny. Ale z drugiej strony, kiedy można sobie było zamarzyć *an impossible dream*, jeśli nie wtedy, kiedy *amerykańskie marzenie* doprowadziło ich astronautów na Księżyc, a “właściciele PRL” niechęć rozkołysali wyobraźnię, jako jedyni w bloku sowieckim dopuszczając do oglądania nocnej transmisji z tego historycznego wydarzenia, a TVP, zapowiadając po dzienniku wieczornym tę transmisję, jeszcze bardziej podkreśliła entuzjazm, łącząc tę zapowiedź z podkładem muzycznym słynnej arii z musicalu *Człowiek z La Manchy*: “Tak iść, aby dotrzeć do gwiazd!”.

Wtedy to właśnie, rozpocząłem mój *Długi Marsz*, ku wymarzonemu celowi. Zaraz po wakacjach letnich 1969, oddałem moim adiunktom wszystkie wykłady transportowe z ekonomiki, organizacji, zarządzania itp. itd., zachowując dla siebie tylko dwa: z historii transportu i z geografii transportu. “Transport” w ich tytule miał być tylko “*barwą ochronną*”, zmyłkowym szyldem, kiedy *de facto* w ich treści pierwszy był wykładem z historii cywilizacji a drugi z geografii cywilizacji; coś tak, jak na WSHM wykład profesora Staszewskiego z geografii gospodarczej był *de facto* wykładem z geografii historycznej. Do końca istnienia PRL, temat cywilizacji był ideologicznie podejrzany, więc nie miałem konkurencji, wykładów z historii czy geografii transportu właściwie się nie czepiano, a moim ujęciu uznawane były przez słuchaczy za atrakcyjne, więc buszowałem z nimi również po innych wydziałach mojego uniwersytetu, innych uczelniach Wybrzeża i z wyjazdami jako *visiting professor* do uniwersytetów w Toruniu i w Łodzi. Wszystko, co odtąd publikowałem, nasycone było w większym, lub mniejszym stopniu tematyką cywilizacyjną, coraz powszechniej kojarzoną z moją osobą.

W takim to podziemiu naukowym przez dwadzieścia lat trwała moja działalność, wtedy już w wydaniu profesora-samouka. Kiedy w 1989 roku upadł PRL, a wraz z nim rozmaite przedmioty ideologiczne, przestały straszyć wszelkie *ekonomiki branżowe*, w tym ekonomika transportu, do bezpartyjnych profesorów uniwersytetu zaczęto się zwracać z propozycjami podjęcia się zajęć dydaktycznych o treści *humanizujących*. Wybiła wreszcie “moja” godzina. Zgłosiłem *ad hoc*, bo czasu na zastanawianie się nie było, ofertę prowadzenia przedmiotu, któremu nadałem nazwę *Elementy nauki o cywilizacji*. Przedmiot ten rozrastał się jak burza, wkrótce prawie wszystkie wydziały Uniwersytetu Gdańskiego były nim zainteresowane. Zacząłem poszukiwać w mojej uczelni wydziału, na którym mógłbym stworzyć Katedrę Nauki o Cywilizacji, gdyż na moim transportowym wydziale było to niemożliwe. Propozycję moją przyjęła politologia, mieszcząca się na Wydziale Nauk Społecznych i na ten wydział przenieśliśmy się w 1991 roku, po 35 latach terminowania w strukturach transportowych, najpierw WSE a następnie Uniwersytetu Gdańskiego. Kiedyś tam, gdy już byłem profesorem tytularnym, powiedziałem partyjnemu dyrektorowi instytutu, w jakim polecono mi pracować, że czuję się tam jak Einstein, który w latach, gdy w Szwajcarii tworzył ogólną teorię względności, “*dla chleba*” zmuszony był pracować u zegarmistrza. Okropnie się na mnie oburzył, za tę chwilę mojej szczerości.

Ale wreszcie tę długą ponurą przeszłość miałem za sobą, byłem wreszcie człowiekiem wolnym, profesorem zwyczajnym, którego naukową specjalność w *Informatorze Nauki Polskiej* zmieniono na *historię i geografję cywilizacji*, dla

którego przy politologii UG utworzono w 1992 roku Katedrę Nauki o Cywilizacji. Dziesięciolecie, przez jakie Katedrą tą kierowałem, uważam za zwieńczenie całej mojej kariery naukowej, okres „dożynek intelektualnych”, niezwykle obfitujący sukcesami kadry, w Katedrze tej skupionej. Jeżeli czegoś z tej dekady żałuję, to tylko pospiesznego niechlujstwa terminologicznego w nazwie tej Katedry utrwalonej. „Nauka o cywilizacji” to termin ładnie brzmiący w języku polskim, ale nie do przełożenia na angielski, czy inne języki Zachodu. „Mądry po szkodzie”, zorientowałem się, że z tego punktu widzenia właściwą byłaby nazwa Katedra Historii i Geografii Cywilizacji. Również właściwszym dla niej miejscem byłby Wydział Historyczny Uniwersytetu Gdańskiego, ale ten powstał, kiedy byłem już na uniwersyteckiej emeryturze.

Lata spędzone na politologii Uniwersytetu Gdańskiego, owocowały dla mnie pogłębieniem rozeznania, co do miejsca politologii w metodologicznej systematyzacji nauk. Dotąd wystarczało mi ustalenie, iż jej miejsce nie jest przy naukach podstawowych – ani przy geografii przyrodniczej, ani przy antropogeografii, ani przy historii, lecz w obrębie nauk politycznych. Teraz przyszła pora na przemyślenie, gdzie dokładnie, pomiędzy poszczególnymi dyscyplinami nauk politycznych, mieści się geopolityka?

Doświadczenie, jakie w ciągu tych lat zebrałem, szczególnie recenzując poważne rozprawy o tematyce geopolitycznej, czy to doktorską, czy habilitacyjną, skłoniło mnie do przyjęcia następującej definicji geopolityki: *jest to nauka pomocnicza polityki imperialnej*. Wymaga to odpowiedzi na kolejne pytanie: a czym jest polityka imperialna? Oto odpowiedź: polityką państwa, pragnącego wymusić (obojętnie: naciskiem propagandowym, szantażem, czy siłą zbrojną) powiększenie swego terytorium. Państwa, które taką politykę imperialną prowadzą, bywają bardzo zróżnicowane co do ich rangi; tak samo, jak we flotach wojennych istniało pojęcie *pancerników kieszonkowych*, tak i tutaj mamy *mocarstwa kieszonkowe*. Z któregoś z reportaży o Ameryce Środkowej, zapamiętałem zdanie: *“w skali basenu karaibskiego, każdy Honduras jest mocarstwem”*. Liczy się tu zatem nie ranga państwa, lecz jego dążenie do *potęgi*, narzucającej swą dominację otoczeniu, poprzez *politykę imperialną*, której służy *geopolityka*. Jak brzmi tytuł jej podręcznika, autorstwa Leszka Moczulskiego? - *“Geopolityka. Potęga w czasie i przestrzeni”*.

Czy każde państwo potrzebuje na swe usługi geopolityki? Z tego, co wyżej wynika, że państwom, które polityki imperialnej nie prowadzą, geopolityka nie jest potrzebna. Że tak jest z wieloma małymi państwami, to zrozumiałe. Ale czy znamy wielkie państwo, obywatelujące się bez geopolityki? W przeszłości takim państwem była Rzeczpospolita Obojga Narodów, wieloetniczna i wielowyznaniowa unijna wspólnota, na drodze konsensusu stworzona w XVI wieku na międzymorzu bałtycko-czarnomorskim. Obca temu państwu była geopolityka, gdyż nie miało ono żadnych planów podbojów, a jedynie kultywowało pamięć o potrzebie odzyskania tego, co utracono. Porównajmy dwa teksty, przedrozbiorowy, biskupa Krasickiego: *„Odbieramy Inflanty i państwa multańskie/liczemy owe sumy neapolitańskie”* i porozbiorowy, z napoleońskiej Pieśni Legionów: *„Co nam obca przemoc wzięła/szablą odbierzemy.”* Czy taka państwowość może funkcjonować i istnieć przez wieki? Okazuje się, że może, tyle, że nie spełnia kryteriów nazywania jej

mocarstwem, choć tak określają dawną Rzeczpospolitą podręczniki polskiej historii.

I przykład współczesny, Unia Europejska, rozszerzająca się na zasadzie podobnego konsensusu, jak kiedyś Rzeczpospolita Obojga Narodów. Czy jej także potrzebna jest geopolityka? Posługują się nią państwa ekspansywne, rozszerzające się na zasadzie eksplozji; nie potrzebują jej organizmy, rozszerzające się na zasadzie implozji, wchłaniającej kolejnych chętnych do dołączenia się do unijnej wspólnoty. A taka właśnie była w wiekach XVI-XVIII Rzeczpospolita Obojga Narodów i taką jest zainicjowana w XX wieku Unia Europejska, poszerzająca się nie na zasadzie imperialnej ekspansji, lecz na zasadzie dobrowolnego akcesu kolejnych jej państw członkowskich. Muszą się one o przyjęcie do Unii Europejskiej ubiegać, spełniając warunki wymagane od każdego z państw ubiegających się o taką akcesję, a dopiero po tym Unia Europejska decyduje, czy nowy do niej kandydat „dojrzał” do wejścia w jej skład.

Ustaliliśmy zatem, czym geopolityka *jest*: nauką pomocniczą polityki imperialnej. A czym ona *nie jest*: nauką interdyscyplinarną, łączącą tematykę nauk politycznych z tematyką nauk podstawowych – historii, antropogeografii, geografii fizycznej. Nie istnieją bowiem żadne „*dyscypliny interdyscyplinarne*”: wystarczy zdać sobie sprawę z tkwiącej w takim pojęciu tautologii, aby zrozumieć jego nonsensowność. Geopolityka, jak wszelkie inne nauki stosowane, ma uzasadnione prawo do korzystania z dorobku nauk podstawowych, ale zapożyczenia te nie prowadzą do jakiegokolwiek „*interdyscyplinarnej*” symbiozy. Nie wracajmy do nonsensów z mrocznych czasów panowania marksistowsko-leninowskiego ciemnogrodu, w których straszły „*interdyscyplinarne*” ekonomiki transportu i podobne im awatary.

Cofnijmy się do postawionego wyżej stwierdzenia, iż geopolityka wspiera *politykę imperialną*, realizowaną już to metodą *propagandy*, już to metodą *szantażu*, już to metodą *akcji zbrojnej*. Zauważmy, że wszystkie one nakierowane są na cel zewnętrzny, niejako „*na eksport*”. Ale *propaganda* jest ponadto najczęściej kierowana na cel wewnętrzny, na indoktrynację własnego społeczeństwa. A to już jest – jak mawiał Kubuś Puchatek – zupełnie inna historia. Można mieć rozbieżne opinie co do tego, w jakim stopniu polityka imperialna (a zatem również geopolityka, będąca na jej usługach) jest działalnością moralnie naganną. Ale propaganda, skierowana na „urabianie” własnego społeczeństwa, poprzez orwellowskie „*kwadrans nienawiści*” przeciwko „*obcym*” z zagranicy, albo w kraju mieszkającym pomiędzy „*swoimi*”, przeciwko politycznie lub światopoglądowo „*myślącym inaczej*” - wymaga totalnego potępienia i odrzucenia jako postawa *zawsze* moralnie nie do przyjęcia. Kto tego nie rozumie i widzi w takiej „*propagandzie na użytek wewnętrzny*” zadanie dla geopolityki, ten nie tylko sam się hańbi, ale hańbi i zniesławia przez to również geopolitykę.

Jest to wybór niezbędny dla tych wszystkich, którzy w geopolityce widzą naukę pomocniczą politologii i pragną rzetelnie się dyscypliną tą zajmować. Powinni oni zdecydowanie się odciąć od owej „*propagandy na użytek wewnętrzny*”, jako *ex definitione* będącej „*zakłamaniem na użytek wewnętrzny*”, realizowanym przez „*grupę trzymającą władzę*”, w interesie podtrzymywania dalszego tej władzy sprawowania. Jest to taka sama, oparta na kłamstwie manipulacja, jak modna od

pewnego czasu tzw. „*polityka historyczna*”. Ta ostatnia jest podobnym wybiórczym i świadomym *manipulowaniem historią*, jak owa pseudo-geopolityczna propaganda na użytek wewnętrzny, jest z reguły świadomym *manipulowaniem geografią*. Obie te, pozał się Boże, „*polityki*”, są mlecznymi siostrami, budowanymi na kłamstwach i dlatego ignorowanymi i odrzucanymi przez nauki podstawowe, na jakie się one powołują. Szkodliwość uprawiania „*polityki historycznej*”, dobitnie wykazała debata historyków polskich w tej sprawie, pod tytułem „*Co ma państwo do historii?*” zrelacjonowana w „*Gazecie Wyborczej*” (14-15.06.2008).

Powyższe uwagi krytyczne absolutnie nie uprawniają do stawiania pytania: „*Co ma państwo do geopolityki?*”, ponieważ ma ono *de facto* monopol na *działania* geopolityczne. Tylko państwo ma warunki do uprawiania „*geopolityki realnej*”. Ową „*Real-Geopolitik*” państwa, sterują „*ludzie trzymający władzę*”, ale po wsparcie merytoryczne sięgają – jak to pięknie określił Leszek Moczulski - do „*doradców Księcia*”; oni to, jeżeli nie pozostają anonimowymi, trafiają do podręczników geopolityki, jako jej twórcy. Henry Kissinger, Zbigniew Brzeziński, Richard Pipes, zasłużyli sobie w geopolityce amerykańskiej na takie miejsce tylko dlatego, że ich na „*doradców Księcia*” zaangażował rząd USA – jedyny gestor geopolityki amerykańskiej. Gdyby pozostali „*uczonymi gabinetowymi*”, głoszącymi swoje prywatne koncepcje geopolityczne *ex cathedra*, należeli by do tej „*rzeszy wielkiej, której nie mógł nikt przeliczyć, ze wszech narodów i pokoleń i ludzi i języków*” (Apokalipsa VII,9) – uprawiających „*geopolitykę wirtualną*”. Trawestując znaną piosenkę Jerzego Stuhra, chciałoby się o owej „*geopolityce własnego pomysłu*” powiedzieć, iż ją „*każdy tworzyć może – raz lepiej, a raz gorzej*”. Nikomu się takiej „*radosnej twórczości*” nie zabrania, z tym, że pozostaje ona dosłownie „*wirtualną*”, dopóki któregoś z jej geopolitycznych pomysłów nie wykorzystywała władza państwowa, przenosząc go tym samym w sferę *Real-Geopolitik*.

Inspiracją dla mnie do takiego podziału geopolityki na *realną* oraz *wirtualną* stała się rozprawa doktorska Wojciecha Kazaneckiego „*Współczesna francuska myśl geopolityczna: Główne tendencje i ich reprezentanci*”, zestawiająca „*jak leci*”, bez wartościowania, wszystko co się w tym kraju o geopolityce głosi, publikuje, naucza. Tylko drobna tego część awansowała do obszaru geopolityki realnej w czasach „*suwerenności*” przed integracyjnej; a i z tego o niemal wszystkim musiała polityka francuska zapomnieć, aby Francja mogła być wiarygodnym członkiem Unii Europejskiej. Na dobrą sprawę, ostała się tylko idea *Porozumienia Śródziemnomorskiego*, wspólna dla państw członkowskich przyległych do ściany południowej Unii Europejskiej; podobnie jak z rozbuchanej XX-wiecznej geopolityki polskiej, ostała się w XXI wieku jedynie idea *Porozumienia Wschodniego*, sterowanego przez Polskę i Szwecję w odniesieniu do kontynentalnej ściany wschodniej Unii Europejskiej. (Nawiasem mówiąc, ten uwiad partykularnej geopolityki realnej, w państwach objętych integracją europejską, jest dowodem potwierdzającym tezę, iż Unia Europejska należy do tych szczęśliwych wyjątków, gdzie poniechanie polityki imperialnej czyni zbytecznym prowadzenie służącej temu geopolityki).

Jaką wartość ma więc ów olbrzymi świat geopolityki wirtualnej, nie znajdującej praktycznego wykorzystania, a zatem tworzonej jak gdyby „*sobie a Muzom*”? Jest

to z pewnością ogromny *think-tank*, zbiornik pomysłów, którego potencjalnej wartości kwestionować nie wolno. W różnych okolicznościach czasu i przestrzeni można w nim znaleźć pożądane rozwiązania praktyczne, gotowe do wdrożenia do geopolityki realnej; zbiornik ten służy treningowi intelektu, rozwijającemu wyobraźnię, inspirującą porywające dzieła literatury z gatunku *political fiction*, a ponadto... Zwróćmy uwagę, że dotychczasowe wywody tego tekstu dotyczą miejsca geopolityki w obrębie nauk empirycznych (*vide* Tabela I). Rozważanie te umiejscawiają geopolitykę w bloku normatywnych nauk stosowanych i stwarzają geopolityce nieprzekraczalne bariery zaporowe wobec prób jej przenikania w sferę nauk podstawowych: historii, antropogeografii, geografii przyrodniczej.

Sytuacja zmienia się, kiedy rozważania te poszerzymy nadto o poza-doświadczalne *nauki metaempiryczne*. Historia wkracza w nie historiozofia, czyli *filozofia dziejów*; w geografii przyrodniczej jej filozoficznym odpowiednikiem jest *geozofia* (ich wzajemne relacje omawiam w książce „*Między historiozofią a geozofią*” wyd.I-1994, wyd.II-2001). Dodajmy do nich geopolitykę wirtualną, jako podobny obszar metaempiryczny, a okaże się, że wszystkie trzy na równi zajmują się często identycznym problemem, nawet tak kluczowym dla geopolityki, jak „*Geograficzna oś historii*” Halforda Mackindera. Jego *Heartland*, to dla geozofii *Bezodpływowy rdzeń Eurazji* (A. Piskozub, „*Rzeki w dziejach cywilizacji*”, Toruń 2001, ss.40-54) a dla filozofii dziejów *Puls Azji* (Ellsworth Huntington, *The Pulse of Asia*, London 1907). W metafizycznym świecie, gdzie przestają obowiązywać bariery nauk empirycznych, geopolityka wirtualna splata się z historiozofią i z geozofią we wzajemnie przenikającą się całość.

SUMMARY

THE PLACE OF GEOPOLICY IN CLASSIFICATION OF SCIENCES DISCIPLINES WITH GEOGRAPHY, HISTORY AND POLICY ON THEIR NAMES

Article, rich in wide autobiographic wells, is located in very interesting trend of geopolitical researches, trying answer on seemingly simple, but how complicated question like, what is the matter and what geopolity is? Title of this article shows that, undertaken considerations on place of geopolity in classifications of sciences disciplines, with geography, history and policy of their names. Author claimed that, just separate geography and history from geopolitical "traces" would be good not only for geography and history, but also geopolity, which is placed in political environment, would can fully present one's own geopolity identity.